



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Franciszek Kołodziej

Sześć bardzo długich lat

Pierwszego września 1939 roku nie poszliśmy do szkoły, bo dzwonek szkolny już w całej Polsce się nie odezwał. Rano odezwały się za to działa przeciwlotnicze, które strzelały do niemieckich samolotów. Maszyny z czarnymi krzyżami bezkarnie latały na polskim niebie siejąc grozę i zniszczenie. W tym czasie mieszkałem w Ursusie pod Warszawą. Widziałem walkę powietrzną polskiego P-II z dwunastoma Messerschmitami. Polski pilot tak dzielnie walczył, że stracił jednaście maszyn przeciwnika, a jeden tylko mu uciekł. Po walce zatoczył łuk, lecąc w dół pod drutami elektrycznymi, wzbijając się wysoko w górę, po czym odleciał do swojej bazy na lotnisko. Osobiście widziałem później kilka tych strąconych samolotów niemieckich. Polskie P-II i „Łosie” były doskonałymi maszynami, problem był tylko taki, że było ich za mało.

Mój ojciec, Józef Kołodziej, służył w Legionach Piłsudskiego, brał czynny udział w walkach o wyzwolenie Polski po długoletniej niewoli. Później uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej i Bitwie Warszawskiej w 1920 roku. Po uzyskaniu niepodległości Polski pracował w różnych zakładach pracy, a ostatnio w Zakładach Mechanicznych Ursus do wybuchu II wojny światowej. W 1939 roku powołany został do wojska, a po kapitulacji dostał się do niewoli niemieckiej. Niemcy zorganizowali obóz jeniecki w miejscowości Szubin na Pomorzu, gdzie ogrodzono teren kolczastymi drutami na łące pod gołym niebem. Były budy strażnicze, w których uzbrojeni hitlerowcy strzegli jeńców wojennych z bronią ciężkiego kalibru, a do pomocy służyły im psy policyjne. W takich warunkach jeńcy polscy przebywali przez trzy miesiące, głodzeni w słońcu i w deszczu oraz zimnie, gdyż to były miesiące jesienne i dopiero w grudniu przed świętami Bożego Narodzenia wykończonych głodem i zimnem ludzi rozpuszczono do domów. Słabsi już nie wrócili do swoich domów, gdyż poumierali w tym obozie. Ojciec wrócił do domu wygłodzony, chory i zawszony. Do mamy powiedział, aby mu ugotowała w małych porcjach obierek albo brukwi, gdyż to było jego jedzeniem w obozie. Był tak i chory, że przeżył z nami tylko do świąt Wielkiej Nocy. Przed samymi świętami zmarł.

Brat mój, Stanisław Kołodziej w czasie okupacji niemieckiej w roku 1940 z łapanki został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec, do miasta Schweinfurth. Pracował tam w fabryce zbrojeniowej. Praca wielogodzinna, nędzne wyżywienie, a raczej głód. Zakwaterowanie w zapluskwionych barakach, źle ogrzewanych w okresie zimowym, brak opieki lekarskiej – wszystko to powodowało znaczną śmiertelność wśród młodych Polaków. Chorych i nie nadających się już do pracy zwalniano do domu. Brat mój przebywał w Niemczech przez dwa lata i całkowicie wyniszczony i chory powrócił w 1942 roku do domu. Kiedy ja byłem na Skaryszewskiej i czekałem na odjazd do Niemiec, brat mój jeszcze wraz z moją mamą przyszedł mnie tam odwiedzić. Zmarł w maju 1943 roku. Będąc już ponad

rok czasu w III Rzeszy dostałem telegram, aby przyjechać na pogrzeb brata, ale nie dostałem pozwolenia na wyjazd.

* * *

Urodziłem się dnia 14 września 1926 roku w Ołtarzewie w województwie warszawskim. Ojciec otrzymał później pracę w Zakładach Mechanicznych „Ursus”, w związku z czym zamieszkaliśmy w Ursusie k/Warszawy. Tam też zastał nas wybuch wojny. Tu także spędziłem pierwsze lata okupacji. Na początku marca 1942 roku, kiedy jechałem pociągiem do Sochaczewa, w Błoniu Gestapo zrobiło obławę. Wszyscy musieli wysiadać z pociągu. Hitlerowcy przesortowali wszystkich, wybierając głównie młodych ludzi i samochodami dowieźli nas do Komisariatu Policji w Błoniu, gdzie trzymali przez trzy dni.

Po trzech dniach, w poniedziałek, przewieziono nas do Warszawy na ul. Skaryszewską. Po tygodniu pobytu zostałem wybrany z dużą grupą Polaków na wysyłkę do Niemiec, a dokładnie do miasta o nazwie Arnstadt. Znalazłem się tam 17 marca 1942 roku. Przydzielono mnie do pracy w fabryce amunicji Polte Metawerk Arnstadt. Obok fabryki, poza jej ogrodzeniem, usytuowane były baraki, w których mieszkali pracownicy przywiezieni z Polski na przymusowe roboty. Byli tam tylko Polacy. Warunki mieszkaniowe były okropne, pomieszczenia źle ogrzewane w zimie, a do tego mnóstwo pluskiew, które niesamowicie gryzły i nie pozwalały spać.

Od tej pory zaczęła się niewolnicza praca. Na terenie fabryki była stołówka, która zapewniała całkowite wyżywienie dla wielotysięcznej rzeszy pracowników. Wyżywienie było nędzne i mało. W fabryce panowała żelazna dyscyplina i obowiązek maksymalnej wydajności. Za najdrobniejsze wykroczenia wywożono na trzy miesiące do obozu w Buchenwaldzie. Ten okres mało kto wytrzymywał, a ci którzy wracali po trzech miesiącach w to samo miejsce wyglądali jak kościotrupy. W tamtym czasie nikt z nas Polaków nie wierzył, że przetrzyma ten koszmar, że wojna się skończy, a my wrócimy do Polski, do swoich rodzinnych domów.

Byłem świadkiem, jak jeden z moich kolegów jeździł wózkami ręcznymi i przewoził od maszyn do innych stanowisk amunicję. W drodze powrotnej jechał pustym wózkiem. Tam się przy tym rozpuścił, że nie zdołał skręcić i wylądował w stosie amunicji. Polacy zwrócili mu uwagę, żeby takich rzeczy nie robił, a on odpowiedział, że to nic, bo zaraz wszystko pozbiera. Zbierał i śmiał się przy tym. Zobaczył to główny majster, pokiwał głową i zabronił mu zbierać. Wyznaczył do tego grupę niemieckich kobiet, które od razu kontrolowały i uszkodzone sztuki odkładały na bok. Majster zadzwonił na wartownię, przyszło dwóch wartowników, zabrali nieszczęśnika z hali produkcyjnej na wartownię, a następnie zajęło się nim Gestapo. Upłynęło trzy miesiące czasu, a nasz kolega do pracy już więcej nie powrócił.

Ja także miałem bardzo trudną sytuację w tej fabryce. Na początku jeździłem takim samym wózkiem ręcznym. Zazdrościłem tym, którzy jeździli wózkami elektrycznymi. Pewnego razu poprosiłem majstra, żeby mi pozwolił pojeździć elektrycznym. Wyraził zgodę. Nawet dobrze mi się tym wózkiem jeździło. Po pewnym czasie majster powiedział, abym już go odstawił na miejsce. Dojeżdżając do miejsca postoju wózka zamiast wyłączyć na luz, włączyłem mu trzeci – najszybszy bieg. Natychmiast przyspieszył i wpadłem na betonową ścianę wybijając dziurę jednym rogiem wózka, drugim zaś zniszczyłem metalową szafę, w której były szkła laboratoryjne. Naczynia – potrzebne do procesu produkcyjnego amunicji – potłukły się na drobny mak. Kiedy zorientowałem się jak duże zniszczenia poczyniłem, zacząłem płakać, że spotka mnie to samo co mojego kolegi. Do tego ujawniło się później, że nie wyłączyłem wózka spod napięcia i spalił się silnik elektryczny. Tego dnia pracowałem do końca dnia roboczego. Wychodząc z pracy na wniosek majstra zostałem zatrzymany na portierni. Wszyscy wychodzący z pracy Polacy jak mnie zobaczyli, to życzyli mi tylko łagodnej kary za moje przewinienie. Była to sobota, godz. 9-ta wieczorem. Przyjechała po mnie policja z miasta i zabrali mnie na komendę. Tam mnie zamknęli do celi. Przespałem na gołych deskach. Następnego dnia, w niedzielę, wypuszczono mnie na dziedziniec. Stało tam kilka rowerów, zapytałem więc jednego policjanta czy pozwoli mi trochę pojeździć na rowerze. On powiedział, że pozwoli mi pojeździć, ale najpierw muszę te wszystkie rowery wyczyścić. Poprosiłem go o jakąś szmatę i zabrałem się do roboty. Potem mogłem sobie pojeździć rowerem.

Pod koniec dnia, około godz. 9-tej wieczorem, do celi przyszedł policjant i zawołał mnie, żebym z nim poszedł do biura. Oddał mi moje zatrzymane rzeczy i powiedział: „Idź do domu, jesteś wolny”. Byłem bardzo zdziwiony. Zapytałem go, czy to już wszystko, a on odpowiedział, że tak, to już wszystko. „Idź do domu, jesteś wolny” – powtórzył.

Kiedy wróciłem do baraku, moi koledzy przyjęli mnie jak ducha, gdyż byli pewni, że ja już nie żyję za tego rodzaju wykroczenie. Mój kolega śmiejąc się z tego co zrobił, został posądzony o sabotaż i za to poniósł surową karę, ja natomiast za duże zniszczenia zostałem niewinny. Szkody jakie poczyniłem niszcząc szkło laboratoryjne spowodowały przerwę w produkcji na okres dwóch tygodni, bo tyle czasu

trzeba było na wykonanie nowych naczyń przez hutę. Po tym zatrzymaniu mnie na policji pracowałem nadal w fabryce i czas płynął mi monotonicznie.

Wiosną 1943 roku razem z kolegą Zdzisiem postanowiliśmy uciekać do Polski. Zaplanowaliśmy wszystko. Umówiliśmy się, że będziemy się poruszać trochę piechotą, a więcej pociągami w kierunku granicy Polski. Była to sobota. Wyszliśmy piechotą, unikając szos. Szliśmy tak sobie polną drogą, z daleka od drogi asfaltowej, po której jechał jakiś Niemiec na motorze. Zobaczył nas jednak i grożąc pistoletem zmusił do przyścia do niego. Zażądał od nas dokumentów, a innego Niemca jadącego na rowerze poprosił, żeby powiadomił policję. W czasie, kiedy ci dwaj rozmawiali ze sobą, wystarczyło mrugnienie okiem do mojego kolegi i już obaj wiedzieliśmy o co chodzi. Szybki zryw i ucieczka. Sytuacja była korzystna, ponieważ w tym miejscu był zakręt szosy porośnięty krzewami. Kiedy Niemiec zobaczył, że uciekamy zaczął strzelać w naszym kierunku, ale niecelnie.

Chociaż w tym czasie nasza znajomość języka niemieckiego była jeszcze dość słaba, to jednak w tej ucieczce dość dobrze sobie radziliśmy. Szliśmy leśną drogą i trafiliśmy na ogrodzenie z drutu kolczastego, przez który udało nam się jakoś przejść. Uszliśmy spory kawałek i nagle słyszymy „Halt, halt, halt!” Był to żołnierz niemiecki, Ślązak. Znał język polski i powiedział nam, że weszliśmy na teren wojskowy i jak nas złapią, to potraktują jako szpiegów. Pomógł nam wyjść za ogrodzenie i wytłumaczył, jak mamy dojść do stacji kolejowej. Na stacji udało nam się wsiąść do pociągu i przejechać 50 kilometrów w stronę Polski. Pieniądze mieliśmy, ale niewiele były warte, bo nic nie można było kupić za nie do jedzenia. Żywność była na kartki. Zapas jedzenia mieliśmy, ale na krótko, a więc byliśmy głodni. Żywiliśmy się ziarenkami wyluskanymi z kłosów zboża oraz czereśniami zrywanych z drzew rosnących przy drogach. Spanie było raczej krótkie i w lasach.

Trzeciego dnia naszej wędrówki, blisko wieczora, byliśmy właśnie na drzewie czereśni. Siedząc na gałęzi rozmawialiśmy po polsku. W pobliżu była jakaś kobieta, Niemka. Rwała trawę, a obok położyła swój rower. Słyszając naszą rozmowę zorientowała się kim jesteśmy. W pewnym momencie podjechała bliżej drogi głównej i zatrzymała Niemca, który jechał na motorze. Opowiedziała mu coś na nasz temat. Niemiec podjechał do nas bliżej wołając, abyśmy do niego podeszli. Nie chcieliśmy tego uczynić. Wtedy on wyjął pistolet i strzelił w górę. W tej sytuacji nie mieliśmy wyboru i podeszliśmy do niego. Po krótkiej rozmowie kazał nam iść przodem, a sam jechał wolno z tyłu na motorze. Doprowadził nas na Komendę Policji i tam zostaliśmy już zatrzymani.

Nasza ucieczka trwała trzy dni i trzy noce. Na Komendzie Policji siedzieliśmy sobotę i niedzielę. W tym czasie dali nam trochę marchewek do zjedzenia i nic poza tym. W poniedziałek zawieźli nas do miasta Jena do więzienia. Tam było szczegółowe przesłuchanie przy pomocy tłumacza. Po przesłuchaniu ustnym było inne. Ponieważ uciekliśmy z fabryki amunicji, znaliśmy wiele tajników dotyczących produkcji. Gestapowcy zapytali, dlaczego uciekliśmy z zakładu i komu chcemy przekazać te tajniki, które znamy. A moja odpowiedź była taka – uciekaliśmy do domu. Wtedy zaczęło się bicie. Przywiązali mnie do ławki i dwóch gestapowców biło. Liczyłem uderzenia po cichu. Doliczyłem do dwudziestu czterech i straciłem przytomność. Wiadro wody na głowę od razu mnie ocuciło. Potem bili dalej. Jak długo nie wiem, bo byłem wciąż traciłem przytomność.

W tym gestapowskim więzieniu siedzieliśmy cały tydzień. Co drugi dzień były przesłuchania z biciem. Rozłączyli mnie z kolegą. Cella, w której siedziałem, była mała i ciemna, a więźniów było czterdziestu. Nawet na stojąco było ciasno. Wyżywienie nędzne – na śniadanie czarna kawa i kromka razowego chleba, a na kolację to samo. Na obiad rzadka, śmierzdząca zupa. W ciągu tego tygodnia jeden raz udało mi się pójść na ochotnika do pracy przy rozładunku wagonów. Wrzucaliśmy metalowe kółka na samochody. Były one przeznaczone do produkcji amunicji ciężkiego kalibru – to już wiedziałem. W tej ciężkiej pracy cieszyłem się, że mogłem zobaczyć słońce. Kiedy samochody odjechały mieliśmy trochę przerwy. Przez cały czas byliśmy pilnowani przez strażników. Na sąsiednim wagonie Niemcy rozładowywali z wagonu kapustę i w pewnym momencie jeden z nich rzucił trzy główki na ziemię. My, polscy więźniowie, rzuciliśmy się, aby dorwać kawałeczek i cieszyliśmy się, że zjemy kawałek tej surowej kapusty. Pilnujący nas konwojenci zrobili zdjęcia tej sceny.

Ten jeden tydzień pobytu w gestapowskim więzieniu wydawał mi się bardzo długi. W sobotę na apelu wyczytali nazwiska, kto w poniedziałek przeznaczony jest do obozu w Buchenwaldzie. Oczywiście na tej liście byłem też i ja oraz mój kolega Zdzisiek. Mój kolega był ode mnie starszy, bardziej rozumiał co to jest Buchenwald i na tym apelu bardzo płakał. Ja go uspokajałem – nie płacz Zdzichu, jakoś z Bożą pomocą to wszystko wytrzymamy.

W osobnych celach doczekaliśmy do niedzieli. Po tygodniu straszliwych przeżyć strażnik otwiera drzwi i wyczytuje moje nazwisko. Pomyślałem, że znów przesłuchanie, ale okazało się co innego. Strażnik zaprowadził mnie i mojego kolegę na Gestapo. W biurze stał jakiś mężczyzna. Wydawał mi się znajomy. I rzeczywiście – był to wartownik z fabryki Polte Metawerk Arnstadt. Przywiózł odpowiednie dokumenty, na podstawie których zwolniono nas z więzienia i anulowano Buchenwald. Gestapowiec oddał nam wszystko, co nam zabrał do depozytu i powiedział, że jesteśmy wolni. Staliśmy jak nieprzytomni. Nie wierzyliśmy, że coś takiego może się stać. To jednak stał się cud. Gestapowiec powtórzył –

„jesteście wolni”. Wartownik fabryczny powiedział, że ma za zadanie doprowadzić nas do fabryki i żebyśmy nie próbowali uciekać, bo on nas nie będzie gonił, a po złapaniu od razu dostarczą nas do Buchenwaldu. Prawda była taka – nie on nas pilnował, ale my jego pilnowaliśmy, żeby nam się gdzieś nie zgubił. Po paru godzinach jazdy pociągiem znaleźliśmy się w fabryce. Byliśmy szczęśliwi, że cały niedawny koszmar już się skończył. Następnego dnia przystąpiliśmy do pracy na swoich stanowiskach. Wszystko wróciło do normy, tylko Niemcy wyśmiewali się, że nie udało nam się uciec do domu. Mój kolega pracował na innej hali, rzadko go spotykałem, ale wiem, że był załamany. Ja czułem się podobnie, bo takie przeżycia pozostają na zawsze w pamięci.

W dalszym czasie nic mnie nie cieszyło, a wkrótce się rozchorowałem i długo byłem obojętny na to co się dalej wydarzyło. Zwolnienia lekarskiego nie miałem, a do pracy nie chodziłem, chociaż było to surowo karane. Trwało to około trzech miesięcy. Wreszcie dyrekcja fabryki skierowała mnie na komisję. Lekarze nie mogli ustalić co mi jest, ale wiadomo było, że jeden tydzień pobytu w gestapowskim więzieniu w mieście Jena ileś zdrowia mi zabrał. Domyślam się, że komisja lekarska przekazała informację do dyrekcji fabryki, żeby mnie odesłali do domu do Polski. I nie myliłem się. W dniu 16 marca 1943 roku rozliczyłem się z fabryką i zjadłem ostatni obiad. Znajomi dali mi dużo kartek z prośbą, żeby je dostarczyć ich rodzinom i znajomym. Wszyscy mi zazdrościli, bo takie sytuacje nie zdarzały się, żeby z fabryki wysyłano Polaków do domu. Ja się cieszyłem, że wreszcie będę u siebie w Polsce. Z dokumentami z fabryki pozostało mi pójść do Urzędu Pracy – Arbeitsamtu. Tam miałem mieć podstemplowane dokumenty oraz bilet bezpłatny do Polski. W urzędzie kobieta, która miała mi to załatwić bardzo dobrze rozmawiała po polsku i normalnie wszystko byłoby załatwione po mojej myśli. W tym czasie jednak odezwał się telefon. Dzwonił jakiś Niemiec, który potrzebował ludzi do pracy. Kobieta powiedziała, że nie ma ludzi, ale ma jakiegoś Polaka, którego z powodu choroby fabryka zwolniła do domu. Wtedy on powiedział, żeby przysłała mnie do niego. Niemka schowała moje dokumenty do szuflady, a wypisała jakiś inny dokument z adresem i wytłumaczyła mi gdzie mam wsiąść do pociągu i na jakiej stacji wsiąść. Stacja ta nazywała się Ilmenau. Tam miał czekać na mnie samochód, którym pojedę dalej.

W pierwszym momencie rozumiałem to tak, że on na pewno jedzie do Polski i mnie po drodze chce ze sobą zabrać. Ponieważ w tym czasie język niemiecki jeszcze słabo znałem, to nie mogłem dobrze zrozumieć tej rozmowy. Prawda była inna. Wsiadłem na dworcem Ilmenau, gdzie czekał na mnie przyszły szef – Hugo Vogler. W czasie jazdy samochodem opowiadał mi, że będę pracował w jego tartaku. Ja się upierałem, że jadę do mojego domu do Polski. Po chwili rozumiałem, że zostałem oszukany i sprzedany. Wkrótce dojechaliśmy do domu szefa w miasteczku Langewiesen. To, co zobaczyłem w domu przeszło wszelkie moje oczekiwania. Miła, serdeczna atmosfera. Szef i jego rodzina zaprosili mnie do środka. Stół był zastawiony dobrymi potrawami. Zaproszono do mnie do jedzenia. Byłem zaskoczony tym, co mnie spotkało.

Przez pierwsze trzy dni szef woził mnie samochodem i pokazywał swoje posiadłości, także i tartak. To wszystko bardzo mi się podobało. Dalsze dni już pracowałem w tartaku. Na początek wykonywałem proste prace pomocnicze. Z biegiem czasu coraz bardziej poznawałem tajniki tego zajęcia. Szef zatrudniał przeważnie Niemców, a wcześniej był tam też jeden Ukraińiec. Gdy ja dojechałem było nas dwóch. Mieszkaliśmy w domu szefa.

W niedługim czasie Niemcy byli wybierani do wojska. Szef poprosił w Arbeitsamcie o ludzi do pracy i otrzymał ich. Byli to Polacy z kieleckiego. Przybyli 1 października 1943 roku. Szef zakwaterował ich w Langeviesen. Jeden z tych Polaków zamieszkał razem ze mną. Wkrótce Ukraińca aresztowało Gestapo za to, że nawiązał bliższy kontakt z Niemką, której mąż był na froncie. Winowajca został powieszony. W podobny sposób karano za te sprawy wszystkich innych cudzoziemców. Kara była jedna – przez powieszenie. Był to element pokazowy – Polaków, Ukraińców, Rosjan i innych zwalniano z pracy i przywożono, aby zobaczyli na żywo jaka jest kara i za co.

W dalszym ciągu mieszkałem u szefa z jednym Polakiem z kieleckiego. Inni Polacy zakwaterowani byli w hotelu w mieście. Miasteczko pozornie nieduże, ale bardzo uprzemysłowione. Zatrudniono w nim na przymusowych robotach bardzo dużo obcokrajowców.

Ja byłem pracowity i posłuszny. Byłem także lubiany przez szefa i całą jego rodzinę. Szybko opanowałem język niemiecki do perfekcji. Szef pozwalał mi wszystkie listy do domu pisać w jego biurze na maszynie. Przy tej okazji dowiedziałem się z różnych pism leżących na biurku, że jest on dowódcą Volkssturmu, a także należy do NSDAP. Mój szef miał dużo zamówień na materiały tartaczne dla potrzeb wojskowych. Wszystkie te zamówienia dostarczał osobiście. Bardzo często brał mnie przy tym do pomocy. Ponieważ tartak był odległy od miasta o 7 kilometrów, szef dał mi rower, którym jeździłem do pracy.

Pewnej niedzieli – a działo się to blisko końca wojny w 1944 roku – spotkałem na mieście Polaka. Był starszy ode mnie, na imię miał Janek. Rozmawialiśmy na ulicy. Po chwili zaprosił mnie do pokoiku na poddaszu. On pracował w rolnictwie u dwojga starszych ludzi. Rozmawialiśmy o naszej sytuacji. Janek pytał mnie, gdzie ja pracuję. Opowiedział mi, w jakiej jest sytuacji. Bardzo dociekliwie

wypytywał mnie o to, co i jak było produkowane w fabryce zbrojeniowej. Znałem to dość dokładnie, ponieważ pracowałem w niej ponad rok. Wszystko opowiedziałem Jankowi. Fabryka była przy drodze z Arnstadt do Erfurtu. Zajmowała obszar około 2 kilometrów kwadratowych. Tu gdzie ja pracowałem był Verk I, około półtora kilometra dalej – Verk II, gdzie uzbrajano amunicję. Między tymi dwoma Verkami były bardzo długie stawy, pod którymi także była fabryka i magazyny amunicji. Myślałem, że sobie z Jankiem tylko tak luźno rozmawiamy, a on dalej mnie pytał. Zapytałem po co mu to wszystko. Odpowiedział, że na strychu jest kompletna radiostacja i że te wiadomości mogą mu się przydać. Janek zapytał mnie, co mam ciekawego w Langeviesen. Opowiedziałem mu, że w pobliżu miasteczka jest dość duża skalista góra porośnięta lasem, gdzie jest też bocznica kolejowa. Byłem tam z szefem wiele razy w celu dostarczania wyrobów tartacznych. Wiedziałem o jednej stolarni, w której w podziemiach produkowano w ramach kooperacji części dla przemysłu lotniczego.

W niedługim czasie po moim spotkaniu z Jankiem w Langeviesen był potężny nalot amerykańskich samolotów. Piloci skoncentrowali atak na tę skalistą górę porośniętą lasem. Od mojego miejsca zamieszkania do tej góry było około 3 kilometry. W czasie tego bombardowania dziwiłem się, podobnie jak i Niemcy, że nie bombardują miasta tylko skalistą górę. Po dłuższym bombardowaniu w jedno miejsce, dostali się do środka, w wyniku czego nastąpiła potężna eksplozja. Po krótkiej przerwie druga, a następnie trzecia. W tym czasie byłem w domu szefa. Widziałem te eksplozje, ogromny dym i ogień buchający w górę. Czulem jak drżała ziemia i leciały szyby z okien. W tym miasteczku nie było żadnej obrony przeciwlotniczej, nie było też widać samolotów niemieckich. Te trzy potężne eksplozje spowodowały ogromne zniszczenia. Duży teren zapadł się na dwa piętra w dół. Po paru dniach byłem tam i to widziałem. Od kolegów z Arnstadt dowiedziałem się, że fabryka amunicji oraz stawy też były bombardowane. Prawdopodobnie Janek wykorzystując moje informacje za pomocą tej radiostacji podał Amerykanom dobry namiar. W ten sposób został w tej okolicy zniszczony przemysł zbrojeniowy i arsenał broni.

W sierpniu 1944 roku przywieziono do miasteczka liczną grupę Polaków z Powstania Warszawskiego. Najwięcej zatrudniono w fabryce porcelany. 6 czerwca 1944 roku armia amerykańska wylądowała w Normandii. Wojska sojusznicze zgniatały hitlerowską machinę wojenną. Zbliżał się koniec wojny.

26 kwietnia 1945 roku była niedziela. Mój szef powiedział mi osobiście, że 3-go maja 1945 roku będzie Blut Sonntag – krwawa niedziela. Prosił żebym przekazał te wiadomości dla wszystkich obcokrajowców. Chodziło o to, żeby wszyscy obcokrajowcy w nocy 2 maja 1945 roku uciekli do lasu. Las był blisko hotelu, w którym mieszkali Polacy. Były tam też dwa baraki, w których mieszkało 120 jeńców francuskich, a pilnowani byli przez żołnierzy niemieckich. Mój kłopot polegał na tym, że nie znałem ich języka i nie mogłem im przekazać tej informacji. Udało mi się znaleźć Polaka, który znał język francuski. Poszliśmy obaj. Ja powiedziałem żołnierzom po niemiecku, że ten kolega jest Polakiem i chce porozmawiać z kimś w sprawach rodzinnych i w ten sposób przekazał on informację Francuzom. Cieszyłem się, że mi się to udało. Miałem na to tydzień, a zrobiłem w cztery dni. Wszyscy obcokrajowcy zostali uprzedzeni o mającym nastąpić wydarzeniu. A byli to: Polacy, Rosjanie, Francuzi, Ukraińcy.

Gestapowcy cały ten tydzień intensywnie działali. Ja się cieszyłem, że udało mi się dobrze wypełnić swoje zadanie. Szef zadbał o to, żeby mnie i mojego współlokatora (pochodził z kieleckiego i nazywał się Jan Satro) ukryć w odpowiednim czasie. Miał on trzypiętrową stodołę, a na trzeciej kondygnacji było siano. W tym sianie przebywaliśmy trzy doby, a szef osobiście przynosił nam jedzenie. W stodole było okienko z widokiem na ratusz tego miasteczka.

Nadeszła niedziela 3 maja 1945 roku. O godz. 4-tej rano gestapowcy zaczęli wykonywać swoje zbrodnicze dzieło. Nie wiedzieli, że szef zdradził ich tajemnicę i powiedział mi, a ja przekazałem wszystkim obcokrajowcom, aby uciekli do lasu. Trzy razy podjeżdżali do domu szefa, aby zabrać dwóch Polaków. Pytali, gdzie oni są. Szef za każdym razem odpowiadał im, że nie wie dodając, że byli tu przed chwilą. W końcu gestapowcy nakazali szefowi, żebyśmy po przyjeździe odesłał nas do ratusza z bagażami.

Przykre jest to, że nie wszyscy obcokrajowcy posłuchali mojej rady. Tych ludzi, którzy zlekceważyli groźną sytuację, gestapowcy wyciągali z łóżek pod pretekstem ewakuacji. Kazali zabierać swoje rzeczy i wsiadać do samochodów. Podwozili ich pod ratusz, gdzie była zbiórka. Ja ze stodoły widziałem bardzo dobrze, że ludzi tych przybywa. Tak jeździli i zwozili do późnych godzin popołudniowych. Późnym popołudniem gestapowcy uformowali wszystkich czwórkami i poprowadzili pieszo. Za miastem szosa pięła się w górę – było wszystko widać. Szli powoli i tak doszli do pierwszego napotkanego lasu. Za lasem była widoczna dalsza droga, która jeszcze pięła się w górę. Długo obserwowałem i ciekaw byłem dokąd oni ich prowadzą. Niestety, na tym widocznym odcinku już tych ludzi nie było widać. Domyśliłem się, że w lesie był ich grób. Długo, bo aż do zmroku nie było słychać strzałów. Prawdopodobnie ludzie zmuszeni byli do kopania sobie wspólnego grobu. Gdy się ściemniało usłyszałem dwie długie serie z ckm oraz pojedyncze strzały w celu dobijania rannych. Po tej masakrze zasypali płytko ziemią pomordowanych. Cały ich dobytek zabrali i odjechali.

W nocy stał się cud. Z grobu zasypanego ziemią wyszli dwaj Rosjanie nie tknięci żadną kulą i poszli do innego lasu. Ja z kolegą musiałem cichutko siedzieć w tym sianie, a trwało to trzy doby. Taka to była krwawa niedziela 3-go maja 1945 roku. W środę 6-go maja weszła, a raczej wjechała do Langeviesen armia amerykańska. Radość, jaką wtedy przeżyliśmy, nie da się opisać, trzeba było to przeżyć.

Po zajęciu miasta żołnierze amerykańscy otrzymali rozkaz przeprowadzenia rewizji we wszystkich budynkach. Taką rewizję przeprowadzono też w domu mojego szefa i znaleziono cały arsenał broni, włącznie z maszynową. Były tam dwa ciężkie karabiny maszynowe typu ckm oraz rkm, broń ręczna oraz amunicja. Szef był dowódcą Volkssturmu, więc musiał mieć zapas broni, aby w razie potrzeby bronić kraju. Dziwne jest dla mnie to, że mieszkając tu przez długi czas nie wiedziałem o tym.

Pragnę jeszcze dodać, że dzień wcześniej, tj. 5-go maja 1945 roku szef zawiózł mnie samochodem potajemnie do tartaku, żebym pilnował, aby Niemcy z pobliskich osiedli nie rozkradali mu desek i innych wyrobów tartacznych. Umówiliśmy się, że wieczorem przyjedzie po mnie. Szef pojechał do domu, a ja rozejrzałem się po terenie. Naokoło były same lasy. Zobaczyłem, że droga z prawej strony była zablokowana przez ścięte drzewa. Drzewa jedno po drugim były ścinane i kładły się na drogę blokując ją. To była robota Volkssturmu, aby utrudnić wjechanie obcej armii na to terytorium. Dzień był pogodny, więc położyłem się na stosie desek i wygrzewałem w słońcu.

Po jakimś czasie usłyszałem ryk silników, który potęgował się z każdą minutą. W międzyczasie pojawiła się grupa około 20 oficerów niemieckich i jeden z nich zwrócił się do mnie, abym mu dał kluczyki od szafek, bo potrzebują cywilne ubrania. Wtedy już bardzo dobrze rozmawiałem po niemiecku, więc nie sądzili, że jestem Polakiem. Dałem im kluczyki. Przebrali się w ubrania robocze, pozostawiając przy tartaku umundurowanie i broń. Gdy byli już w cywilnych ubraniach starszy oficer podszedł do mnie, podziękował i podał mi rękę. Potem odeszli do lasu. Ryk silników coraz bardziej się wzmacniał, a ja nie wiedziałem co to jest. Domyślałem się jednak, że to wjeżdża armia amerykańska. Nie bardzo interesowałem się tymi ubraniami, które pozostawili oficerowie niemieccy. Minęło jeszcze trochę czasu i okazuje się, że nie myliłem się. Była to kolumna czołgów amerykańskich. Pierwszy zatrzymał się na wysokości tartaku w odległości około 40 metrów, przed płynącą tędy rzeczką. Na czołgu zobaczyłem zatkniętą chorągiewkę – z prawej strony amerykańską, a z lewej białą-czerwoną, polską. Zauważyłem także, że czołgi te skierowały luty swoich dział na tartak. Wtedy zbliżyłem się do nich. Z wieżyczki pierwszego czołgu wychylił się żołnierz i coś do mnie mówił po angielsku. Zastanawiałem się, co mogę mu odpowiedzieć, ponieważ nie znałem tego języka. Powiedziałem mu więc po polsku, że nie rozumiem. Wtedy zapytał: „polski, polski?”. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem. Wówczas on już po polsku zapytał mnie, czy w tym tartaku nie ma obrony ze strony Niemców. Jestem tu tylko ja – odpowiedziałem. Oficer wydał rozkaz, aby lufy dział skierować na wprost i otoczyć tartak. Żołnierze bardzo się ucieszyli, kiedy zobaczyli stos mundurów niemieckich ze szlifami oficerskimi i odznaczeniami oraz broń. Pozabierali sobie na pamiątkę odznaczenia i broń krótką. Po zbadaniu tartaku dowódca wydał im rozkaz, aby wrócili do czołgów. Oficer ten długo rozmawiał ze mną, aby poznać sytuację dotyczącą obrony w rejonie miasta. Wszystko mu opowiedziałem, ponieważ dokładnie to znałem. Oficer był Polakiem i nazywał się Edward Kardys. Powiedział mi, że w tym dniu podjadą jeszcze 4 kilometry i ustawią się na nocny postój, a następnego dnia będzie atak na miasto Langeviesen. Od tego tartaku podwieźli mnie w kierunku miasta na czołgu. Na koniec oficer kazał mi iść do domu i zapowiedział, że ta noc będzie gorąca.

W stronę wojsk amerykańskich odezwały się ciężkie karabiny maszynowe. Parę godzin była przerwa i o godz. 24-tej zagrały działa amerykańskich czołgów. Zniszczonych zostało dużo domów w mieście i wszystko się paliło – nawet ziemia. Atak trwał do 6-tej rano. Od godz. 6-tej weszły do akcji gaszenia pożarów wozy niemieckiej straży pożarnej.

Była godzina 9 dzień 6 maja 1945 roku, kiedy armia amerykańska na czołgach wjechała do miasta. Jak już wspominałem wcześniej, żołnierze amerykańscy rozpoczęli rewizję w każdym domu. Gdy znaleziono dużo broni i amunicji w domu mojego szefa, ustawiono go z całą rodziną pod ścianą do rozstrzelania. Taki rozkaz wydał ten sam oficer amerykański, z którym rozmawiałem w tartaku. Widząc to podszedłem do oficera i powiedziałem, żeby ich nie zabijał, bo dzięki nim wielu obcokrajowców zostało uratowanych przed śmiercią. Chociaż był Niemcem, to był również bardzo dobrym człowiekiem i nie pozwolił, aby rozstrzelano niewinnych ludzi przebywających tu na przymusowych robotach. Po wysłuchaniu moich relacji oficer wydał rozkaz dla plutonu egzekucyjnego, żeby się rozeszli bo egzekucji nie będzie. Potem powiedział po angielsku rodzinie szefa, aby opuścili ręce, ale oni tego nie rozumieli. Przetłumaczyłem więc jego polecenie na niemiecki. Mój szef razem ze swoją rodziną nie wierzyli w to, że darowano im życie. Ja im tłumaczyłem, że nie będą rozstrzelani i mogą wolno odejść do swojego domu. Oficer wydał rozkaz, aby żołnierze zabrali całą broń, jaka znajdowała się w domu. Mój były szef wraz ze swoją rodziną dziękowali mi serdecznie za uratowanie życia. Z radości kłękali i całowali mnie po rękach ze łzami w oczach, ponieważ słyszeli jak w rozmowie z tym oficerem stanąłem w ich obronie. Z oficerem rozmawiałem po polsku, a oni domyślili się, że ja ich broniłem.

Od tej chwili ja z kolegą i wszyscy, którzy uciekli do lasu byliśmy wolni. W armii amerykańskiej było wielu Polaków. Amerykanie darzyli nas dużą sympatią. Opowiedziałem oficerowi – Edwardowi Kardysowi – o dokonanej przez Niemców egzekucji w lesie. Powiedział, że zajmie się zbiorowym pogrzebem. Po paru dniach dwaj Rosjanie, którzy cudem ocalili z pogromu, chodząc po mieście rozpoznali jednego z tych gestapowców. Był w cywilnym ubraniu i bez broni. Rzucili się na niego jak lwy. Amerykanie zabrali całą trójkę. Gdzieś tam wyjaśnili kim on jest. Gestapowiec był potulny – wydał wszystkich, którzy uczestniczyli w tej masakrze. Było ich piętnastu – byłych gestapowców. Wszyscy mieszkali w tym miasteczku.

Po dwóch tygodniach Amerykanie zorganizowali masowy pogrzeb. Do tego działania dali silną eskortę wojskową, a także utworzyli służbę pomocniczą z nas – Polaków. Dali nam biało-czerwone opaski na rękaw. Na tych opaskach były litery MHP. Dali nam także krótką broń i amunicję. Zadaniem naszym było utrzymać porządek w czasie wielodniowego pogrzebu. W pochówku uczestniczyli dawni oprawcy, których codziennie dowożono z więzienia. Praca ich wyglądała tak, że musieli gołymi rękami odgrzebywać każde ciało tych pomordowanych i rozbierać z ubrań. Musieli przeszukać i wyjąć wszystko, co było w kieszeniach i położyć osobno. Ciała pojedynczo kładli do wanny, myli i owijali w prześcieradła, a następnie kładli do trumien. Trumny były przewożone na miejscowy cmentarz w Langeviesen. Władze z ratusza zmuszono do zorganizowania, finansowania oraz wykonania swoimi ludźmi wszystkich innych czynności. Musieli dowieźć wanny na miejsce zbrodni, przygotować trumny, przewieźć je na cmentarz, wykopać groby i uformować mogiły. Kwiaty i inne drobne sprawy załatwione zostały na koszt miasta. W jednym dniu robiono po 20-25 trumien. W każdym dniu były przewożone i kładzione na linii grobów na miejscowym cmentarzu. Były przemówienia w różnych językach. Pierwsi przemawiali dwaj Rosjanie, potem oficer amerykański, Polacy, burmistrz miasta. Po przemówieniach trumny zostały nakryte i pojedynczo wpuszczano je do grobów. Dla każdego pochowanego pluton żołnierzy amerykańskich oddał trzy strzały honorowe. Wszyscy obecni na pogrzebie w czasie opuszczania trumien do grobów płakali. Pogrzeb ten trwał wiele dni. Oficer amerykański zapewnił, że na podstawie tych dokumentów, które wyjęto z kieszeni pomordowanych, prześlą informację do wszystkich rodzin. Po skończonej ceremonii 15 gestapowskich bandytów zostało rozstrzelanych.

Oto dwa oblicza ludzi. Mój szef – dowódca Volkssturmu i członek NSDAP, znający tajniki hitlerowskiej maszyny wojennej – postanowił uratować niewinnych ludzi, którzy trafili tam na przymusowe roboty. Drudzy – w mundurach Gestapo – postanowili zabić bardzo wielu niewinnych ludzi tylko dlatego, że byli obcokrajowcami. Chodziło o Polaków, Rosjan i Francuzów, a także Ukraińców.

Władze amerykańskie wydały zarządzenie, aby wszyscy będący na przymusowych robotach od tej pory przez trzy miesiące nie pracowali, a ich pracodawcy musieli im zapewnić mieszkanie, wyżywienie i pensje. To miał być taki urlop dla tych ludzi i rekompensata za wyzysk, jaki stosowano w reżimie hitlerowskim.

Każdy z nas myślał o tym, jak wrócić do kraju. W Erfurcie Amerykanie zajęli ogromne ponemieckie koszary i zgromadzili tam 13 tys. Polaków. Ja też się tam znalazłem. Tych, którzy chcieli jechać na Zachód przewożono do specjalnych obozów, gdzie zapewniono im godne życie. Natomiast ci, którzy chcieli wracać do Polski, musieli to robić na własną rękę. Pociągi w tamtym czasie jeszcze nie kursowały, ponieważ były ogromne zniszczenia. Powrót był bardzo utrudniony, a do tego grasowały bandy, które rabowały jeżeli ktoś posiadał coś przy sobie. W takich warunkach wróciłem do Polski w lipcu 1945 roku.